

Z cyklu: MARZENIA ŚCIĘTEJ GŁOWY
Śniadanie, za które jestem winien

„Naokoło Świata”,
nr 61 z 1929 roku

Peyotl, maleńki kaktus meksykański, używany przez Indian podczas misterii rytualnych, jest niewątpliwie najdziwniejszą rośliną, jaką wydała ziemia. Dotychczas wyosobniono z soków peyotlu kilka alkaloidów. Jeden z nich, lofoforyna, sprowadza gwałtowne torsje, drugi, peyotlina, wywołuje fantastyczne halucynacje, wizje na odległość oraz rozdwojenie osobowości. Ciekawych odsyłam do broszurki dra J.M. Majewskiego *Czyciele świętego kaktusa* (wyd. „Roju” 1927), a w szkicu niniejszym poprzestanę na sprawozdaniu z przygody, jaką miałem w ubiegłym roku, podczas zwiedzania Pompei. Nie wysnuwając na razie wniosków, stwierdzam, że alkaloidy peyotlu przyniosą jeszcze ludzkości niejedną niespodziankę.

Hotel Diomède nie należy do kategorii luksusowych, ma jednak tę zaletę, że z okien pierwszego piętra można ogarnąć wzrokiem dwie trzecie ruin pompejańskich. Dlatego też, zwiedzając zamarłe miasto, stanąłem w tym właśnie hotelu.

Pominę w opowiadaniu drugorzędne szczegóły. Przechodzę wprost do faktów. W ciemną noc kwietniową zdecydowałem się na wypróbowanie własności peyotlu. Byłem w posiadaniu 5 gramów wyciągu chloroformowego panpeyotliny, natomiast nie miałem ani wagi, ani kroplomierza. Prawdopodobnie doza, którą przyjąłem, znacznie przewyższała dopuszczalną normę, wymioty bowiem nastąpiły po upływie kwadransa. Nie wyobrażałem sobie nawet, iż mogą istnieć tak straszne torsje, po których zapadłem w parogodzinny sen, przerywany wizjami świetlnymi.

Dwukrotnie odzyskiwałem przytomność. Za drugim razem zerknąłem na zegarek. Była godzina 6 rano. Zdażyłem zrzucić ubranie i wdziać piżamę. Podszedłem do okna, odsunąłem firankę i głośno krzyknąłem z zachwytu. Zwaliska Pompei były skąpane w tęczowym blasku. Każdy kamień, każdy załomek muru rozkładał światło słoneczne jak pryzmat górskiego kwarcu. Ze wszech stron smagały mnie promienie wielobarwne: ostra czerwień, nieskazitelny błękit, zieleni, fiolet i biel oslepiająca. Poczułem ból w głębi oczu. Cofnąłem się, zasłoniłem okno i padłem na łóżko. Po chwili znów byłem nieprzytomny.

Obudził mnie silny wstrząs. Zdawało mi się, iż spadam z pierwszego piętra na parter. Siedziałem w piżamie na piasku, obok drogi wykładanej kamiennymi tafłami, wprost przed sobą miałem znane zarysy murów pompejańskich, nieco jednak inne, jak gdyby je kto w ciągu nocy zdążył odremontować. Obejrzałem się, hotelu nie było. Przeniosłem wzrok na Wezuwiusz. Groźny wulkan był zupełnie inny. Zamiast nagich skał, do samego szczytu piętrzyły się tarasy winnic. Krater też miał zmienione kształty. Nie mogłem dopatrzeć się dymu ani obserwatorium, ani kolejki linowej.

Traktem przeciągnęło stadko kóz. Pasterka zmierzyła mnie ciekawym spojrzeniem i rzekła: „*Salve!*”¹. Ubrana była lekko, skromnie, lecz z wdziękiem. Posłałem jej całusa, na który uprzejmie skinęła głową.

– Hej, panienko – krzyknąłem po włosku – co to za okolica?

– *Non possum capere quod ditis, nobilissimo domine*² – odrzekła.

Pasterka mówi po łacinie! No, no, przygoda zaczyna być ciekawa. Na szczęście pamiętam coś niecoś z ławy szkolnej, mogłem więc spytać:

– Powiedz, o piękna, jak zowie się to miasto?

– Jesteś pod murami Pompei, cudzoziemcze. Za tym zakrętem znajdziesz bramę portową.

– Kto cię nauczył tak pięknie przemawiać?

– Nauczyła mnie matka, której ród z Lacjum pochodzi – z dumą odparło dziewczę. – Ojciec mój należy do szczepu Osków, ale nie posługuję się ich językiem.

– Jaki dziś mamy dzień?

– Pogodny. Wszak widzisz, słońce świeci.

– Nie o to pytam, lecz o datę.

– Tego nie potrafię ci powiedzieć, nie znam się na kalendarzu.

– To może będziesz wiedziała, jaki obecnie panuje imperator?

– Tytus, syn Wespazjana. Lecz ktoś ty, cudzoziemcze? Dlaczego pytasz mnie o rzeczy znane całemu światu? Sądząc z twojego stroju, musiałeś przybyć z zamorskiej krainy. Idź do miasta, tam dowiesz się więcej, bo ja nie jestem uczona. Żegnaj.

I odeszła, nawołując kozy.

Podniosłem się z wysiłkiem. Nogi mi drżały, w głowie warczało jak w wiatrak. Z wolna powlokłem się ku bramie.

Zastąpił mi drogę młody człowiek w podartym chitonie.

– Witaj, szlachetny cudzoziemcze! – zawołał. – Właśnie oczekiwałem cię pod murami tego gościnnego grodu.

– Mnie oczekiwałeś? Chyba jesteś w błędzie.

– Bynajmniej. Ja tu czekam na wszystkich przybyszów, którzy beze mnie nie dadzą sobie rady. Jestem Ruben, syn Szymona. Znajdę ci mieszkanie, zaprowadzę do dobrej tawerny na posiłek, wyrobię miejsce w termach. Nie odrzucaj pomocy, za którą wdzięczny będziesz.

– Zgoda, prowadź mnie do miasta.

Zaczęliśmy wspinać się po stromej ścieżynie, przerywanej miejscami przez stopnie.

– Powiedz mi, Rubenie, co to bieleje na krańcu zatoki?

– Surrentum, miasto syren, choć dawno już nie spotykano żadnej z tych istot. Podobno zlekły się gburowatych Paflagończyków sprowadzonych do robót ziemnych. Na lewo, te domki malowane ochrą, to Stabia. W pobliżu świątyni o sześciu kolumnach tryska lecznicze źródło. Quintus, centurion, któremu Iberowie złamali nogę, kąpał się tam latem i wyzdrowiał.

– A z tej góry, czy nigdy nie wylatuje dym i ogień?

¹ Witaj – *lac.*

² Nie mogę połapać się, co mówisz, szlachetny panie – *lac.* (niezbyt poprawna).

– Jak żyję o tym nie słyszałem. Podobno na Sycylii jest taka góra.

Stanęliśmy pod bramą. Jak na dłoni widziałem port, liczne łodzie rybackie, statki żaglowe.

– Rubenie, co to za mury, na prawo?

– Herculanium. Pod murami obozują moi współplemieńcy, których Tytus wypędził z Jerozolimy. Do miasta jeszcze im wchodzić nie wolno, ale wkrótce ma wyjść reskrypt, nadający prawa obywatelskie.

– Widujesz się z nimi?

– Po co mam się widywać? Ja jestem Aleksandryjczyk, oni mówią po aramejsku. Nie rozumiemy się nawzajem.

Wkroczyłem do bramy przejściem dla pieszych. Była to ta sama Porta Marina, tak dobrze mi znana z licznych wycieczek. Z prawej strony, w niewielkiej niszy, stał gliniany posążek Minerwy. Płonęła przed nim lampka oliwna, przybrana kwieciami jaśminu.

– Nie dziw się, cudzoziemcze – mówił Ruben – jeżeli ujrzysz ślady zniszczenia. Miasto nasze było nawiedzone przez trzęsienie ziemi. Wszystkie niemal świątynie są nieczynne, forum leży w gruzach, odczuwamy wielki brak mieszkań. Nawet bogowie gnieźdzą się po kilku w jednej kaplicy. Patrz, te kolumny nieprędko będą odbudowane. Z sześciu zakładów kąpielowych dwa tylko pozostały i to najstarsze, dawniej odwiedzane przez niewolników.

– Dokąd mnie prowadzisz?

– Do tawerny Sittiusza. Polecam ci ten zakład. Tam dobrze karmią.

Mijając Forum, zauważyłem kamieniarzy, zajętych ociosywaniem głazów. Pod ścianami stały kramiki drewniane, zawieszane przedmiotami codziennego użytku. Zwraçały uwagę wysmukłe amfory, misy, kubki wszelakiego kształtu, potężne pitosy, ozdobne kyliksy, rogi do picia i zwykłe garnki kuchenne. Dalej obejrzałem sklepik blacharza, sklepik szewca, mozaikarza, pracownię krawiecką pod gołym niebem, warsztat jubilera oraz kilka kramów z tkaninami. Jakiś oszust zapraszał mnie do gry w kości, inny chciał sprzedać fałszywy klejnot.

Moja piżama robiła furorę. Ze wszech stron zbiegali się przechodnie, by mnie podziwiać. Powstało nawet prawdziwe zbiegowisko, szybko rozpędzone przez wigilów. Po przejściu paru ulic zatrzymaliśmy się przed domem, na którym widniało godło: słoń z podniesioną trąbą. Poniżej był napis: „*Sittius restituit elephantu*”³.

– Tu można dobrze zjeść i odpocząć – oznajmił Ruben.

I wszedł do jadłodajni, wołając:

– Miejsce dla szlachetnego cudzoziemca!

W tawernie panował tłok. Dokoła bufetu stali klienci. Ławy były zajęte, jednak nikt nie leżał, wbrew opisom zamieszczanym w naszych podręcznikach szkolnych. Posadzono mnie przy stole, sam Sittiusz przyszedł zapytać, na co mam ochotę. Odpowiedziałem, że bardzo jestem głodny.

Zjawiły się cztery kelnerki z dzbanami gorących napojów. Miałem do wyboru mleko, grzane wino, odwar liści borówkowych z miodem i sok z berberysu.

³ Sittiusz odnowił słońca – łac.

– Ja radzę skosztować mleka z Mons Lactarius – odezwał się Ruben – doskonale mleko. Mój szwagier tu dostarcza.

Istotnie, mleko było wyśmienite. Smakowało mi również chrupkie pieczywo, choć mąka nie odznaczała się delikatnością. Masła nie dano, lecz w zamian kilka rodzajów sera, wyborny miód, jajka *a la coq*⁴ i wreszcie – świeże czereśnie, sprowadzone aż z Azji Mniejszej. Na zakończenie uczyty poprosiłem o wino.

Rubinowy płyn oszołomił mnie nieco. Co chwila podawałem kelnerce gliniany kyatos, z prośbą o napełnienie z następnej amfory. W ten sposób poznałem smaki win miejscowych i obcych, by stwierdzić, że nie różniły się wiele od współczesnych. Jedynie ciężki maślacz cypryjski zalatywał dymkiem, ponieważ, jak mi wytłumaczył Ruben, gatunek ten fermentuje w beczkach wylanych smołą.

– Cudzoziemcze – przemówił Sittiusz – widzę na twym obliczu zmęczenie. Kazalem przygotować ci łoże, wezwałem też lutnistkę, aby śpiewem ukołysała cię do snu.

I zaprowadził mnie na pierwsze piętro. Spocząłem na kamiennej ławie, pokrytej materacami, z walkiem pod głowę i kocem wełnianym. Przyszła też zapowiedziana lutnistka, młode dziewczę z Koryntu imieniem Helena.

– Czy mam ci zaśpiewać? – spytała.

– Nie, wolę pogawędzić. Powiedz mi, czy jesteś niewolnicą?

Odłożywszy lutnię z żółwiej skorupy, siadła na podłodze.

– Tak, panie, jestem niewolnicą.

– Dlaczego nie poprosisz Sittiusza, aby obdarzył cię wolnością?

– O, panie, Sittiusz niejednokrotnie pytał mnie o to. Zawsze mu odmawiałam, nie chcąc go urazić. Zresztą jestem dość bogata, aby zapłacić za własną wolność. Goście są hojni, pracę mam lekką. Śpiewam, deklamuję, czasami tańczę. Gdybym się wyzwoliła, któż by dbał o mnie? Chyba przygodni wielbiciele. Nie, wolę tu zostać.

– Włosy masz złote...

– Kąpałam je w rumianku.

– W głowie mi huczy...

– Zbyt wiele piłeś wina.

– Powstań, siądź przy mnie, Heleno.

Jak długo spałem w oberży Sittiusza, nie zdaję sobie sprawy. Obudziłem się w tym samym pokoiku, na łożu twardym i zimnym. Właściwie nie obudziłem się sam, lecz z pomocą dozorca, który długo potrząsał mnie za ramiona, wołając:

– Eh, signore, zamykamy!

A kiedy przetarłem oczy, dodał:

– Jak pan tu wszedłeś w pizanie? Którą bramą? Jedenaście lat jestem dozorcą tych ruin i po raz pierwszy widzę coś takiego.

Z całej tej przygody, oprócz wspomnień, pozostało mi mętne przeświadczenie, że mimo woli oszukałem parę pocziwych kreatur. Przede wszystkim ober-

⁴ Na miękko – *franc.*

żystę Sittiusza z kelnerkami, którym nie zapłaciłem za śniadanie, następnie Rubena, wreszcie złotowłosą lutnistkę.

Władysław Zambrzycki